ROK IV. Krzemieniec, wrzesień 1928 r. № 1.



Miesięcznik Młodzieży Liceum Krzemienieckiego

wydawany przez Koło Krajoznawcze im. D-ra Wilbalda Bessera

Młodzieży Liceum Krzemienieckiego.

Młodości!
Wszystkiego dziedzicu!
O, pokolenie przyszłą wiosnę niosące!
Zakuj się w żelazną zbroję woli, o młoda duszo! Niechaj Twój umysł zaryje się z uporem Hoene—Wrońskiego w „liczbę, metal, trupie ciało.“—Ustami tak miłosiernemi i tak niezbłaganemi, jak usta Sakya-Muni, zaprzysięgnij sobie poznanie siebie, które jest głównym sposobem do niezbednego czynu: do przezwyciężenia bezwładu duszy polskiej.

St. Żeromski: „Słowo o bandosie“.

Krzemieniec, druk. „SŁAWA“, Szeroka 76.

ROK IV. Krzemieniec, wrzesień 1928 r. № 1.



Miesięcznik Młodzieży Liceum Krzemienieckiego

wydawany przez Koło Krajoznawcze im. D-ra Wilbalda Bessera

Młodzieży Liceum Krzemienieckiego.

Młodości!
Wszystkiego dziedzicu!
O, pokolenie przyszłą wiosnę niosące!
Zakuj się w żelazną zbroję woli, o młoda duszo!
Niechaj Twój umysł zaryje się z uporem Hoene—Wrońskiego w „liczbę, metal, trupie ciało.“ — Ustami tak miłosiernemi i tak niezbłaganemi, jak usta Sakya-Muni, zaprzysięgnij sobie poznanie siebie, które jest głównym sposobem do niezbędnego czynu: do przezwyciężenia bezwładu duszy polskiej.

St. Żeromski: Słowo o bandosie.

Krzemieniec, druk. „SŁAWA“, Szeroka 76.

Od Redakcji.

Zapowiedzianą w poprzedniach numerach reformę „Naszego Widnokręgu“ realizujemy w niniejszym numerze. Od dziś „Widnokrąg“ przestaje być pismem, wyłącznie poświęconem krajoznawstwu i tym, którzy się tem krajoznawstwem interesują. Od dziś staje się zwierciadłem, w którem ma się odbijać jak najwierniej nasze życie licealne, z jego troskami i weselem. Im bujniejsze będzie to życie, tembardziej wymowną będzie nasza gazetka.

Ale to nie jedyne i nie najważniejsze zadanie „Widnokręgu“. - Młodość nasza, niby musujący napój, szumi i burzy się. Nie możemy wieść życia na podobieństwo wodorostów, wegetujących w stojącej wodzie. Poza naturalną zupełnie żądzą rozrywek i wesela, tkwi w większości z nas równie naturalna, nieuświadomiona zresztą chęć do czegoś niezwykłego, do wyrwania się z szarej codzienności jakiemś niecodziennem przeżyciem lub czynem. To jest koledzy, uczucie, któreby można nazwać tęsknotą do ideału, a ściślej—do idei, mogącej życiu naszemu nadać wyraz i urok.

Zanim ta idea wyraźnie się skryztalizuje w dojrzałych już umysłach, zanim nada ton i charakter przyszłemu życiu naszemu, nie wegetujmy przez młode nasze lata! Młodość nasza nie powinna być tylko przygotowaniem do życia, a sama w sobie już być pełnem, bogatem życiem. I na ten młodzieńczy, szkolny okres życia weźmy sobie dewizę, która zamyka się w przytoczonej na wstępie niniejszego numeru nowoczesnej „Odzie do młodości“ największego pisarza Polski Współczesnej. Przetłumaczona na język konkretny, da ona się ująć w dwóch wskazaniach: nauka i praca nad wewnętrzną organizacją swoją, czyli nad urobieniem swego charakteru.-„Widnokrąg“ niech pomoże nam w tej pracy, mianowicie wzajemnie oddziaływać na siebie przez wolne a przemyślane słowo. I oto taką rolę chce on odtąd pełnić: chce być naszą trybuną, z której przemawiać śmiało, bezpośrednio a rozumnie będzie mogła młodzież licealna, współtwórczyni i współbudowniczka szczęśliwego licealnego życia!..

Wzywamy was do zabierania głosu na łamach „Widnokręgu“. Artykuły rozmaitej treści (literackie, krajoznawcze, z życia szkoły, internatu, organizacyj etc.) należy składać w skrzynce redakcyjnej. Następny numer „Widnokręgu“ ukaże się w dniu święta Licealnego.

(Ostatni, czwarty zeszyt z ubiegłego roku, który ma być przewodnikiem po Krzemieńcu, wydany zostanie na wiosnę, jako w okresie, rozpoczynającym wycieczki).

A. Z.

PIERWSZE KROKI.

Skończyło się nasze słoneczne, beztroskliwe życie wakacyjne. Jeszcze po duszy błąkają się barwne obrazy widzianych okolic kraju, wsie, miasta, spienione fale ojczystego Bałtyku; jeszcze niejednemu w uszach dzwonią piosenki wędrowne i huczy jednostajny łoskot wagonów.

A tu tymczasem czas leci, życie bieży już dawnem szkolnem łożyskiem!.

Pierwsze powitania!.. Niejeden z nas zajrzał przy przywitaniu badawczo w oczy przyjacielowi, badając mimowiednie, czy sny jego wakacyjne sprawdziły się, czy wraca promienny, czy zawiedziony...

Rozpoczęcie uroczyste roku szkolnego!... Nie zwykłe i konwencjonalne, jak co roku ale jakieś odmienne, jak i ów system odmienny, który ma zapanawać w szkole. Przemówienia i powitania p. p. Kierowników naszych zakładów licealnych zawierają tyle nowin i nowości: system Daltoński, rozmieszczenie szkół i klas w innych gmachach, nowe porządki i rozporządzenia w najrozmaitszych sprawach. Wreszcie ostatnia antrakcja nowi profesorowie, którzy przybyli w tym roku.....

Przyszły pierwsze dni nauki. Na tle cichych i poważnych kurytarzy przebiegają gromadki uczniów i uczennic, wszyscy z podnieceniem w oczach i ruchach: wszędzie panuje gorączkowość, pewna niezaradność, to znów skupienie i jakaś uroczystość u kierowników i profesorów. Naogół widać, że wszyscy z zawiniętemi rękawami zamierzają wziąć się do pracy: ci, którzy w poprzednich latach wykręcali się od nauki na lekcjach, jak i ci, którzy już poprzednio pracowali.

I jeżeli tak dalej pójdzie praca, to uda się próba, tak dla nas zaszczytna, bo oto stajemy się niby laboratorjum pedagogicznem dla całej Polski; mamy w najlepszych warunkach podjąć tę próbę i wypracować nowy system nauczania, oto zaszczyt, dla jakiego warto poświęcić dawne, bezmyślne i słodkie spożywanie przygotowanej papki naukowej.

Przeszły pierwsze trudności, lamenty, każdy się pomału oswaja z nowym systemem, coraz mniej bezradnych szwęda się po kurytarzach. Pilniejsi „zdali“ już z tego i owego przedmiotu! Ochota rośnie do dalszej solidnej pracy. Nie święci garnki lepią! Damy radę nowemu systemowi!

B. G.

ROZPOCZYNAMY.

Rozpoczynamy wraz z miljonami młodzieży na całym cywilizowanym świecie nowy rok szkolny po wypoczynku letnim wchodzimy we wrota naszej Alma-Mater, starej, czcigodnej uczelni. Tradycja jej da się porównać chyba tylko z tradycją filareckiego Wilna i z dumą myślę o tem, że oto rozpoczynam w niej na nowo naukę.

Często się mówi i słyszy, często się powołują nasi wychowawcy na tę tradycję i dziś my już bez wrażenia tego słuchamy, zepsuci i rozpieszczeni przez sytuację.

Mamy zaiste, specjalne warunki do pracy nad sobą: władze przełożone, które całe swoje wielkie uprawnienia i środki rozporządzalne obracają na naszą korzyść, myśląc o niej jedynie; profesorów przyjaciół z wielką częstokroć wiedzą i zdolnościami; odpowiednie, architektonicznie tak piękne gmachy, otoczenie, przyrodę, wśród, której oddychać możemy atmosferą piękna; wszelkie udogodnienia i inowacje, znane na polu naukowem.

A my wraz z pracą naszą mamy stanowić treść, wypełniającą te wspaniałe ramy. Co zrobić, aby treść była godna tych ram?; abyśmy nie zhańbili tradycji i wobec historji byli godnymi spadkobiercami słynnych krzemieńczan?—Trzeba, by każde z nas przystępowało do pracy z dobrą wolą, z zapałem, z postanowieniem, że nie zmarnuje młodych lat napróżno. Spokojni i opanowani, tylko z palącym się w duszy ogniem żądzy nauki i wiedzy, weźmy się do tej nauki z zaparciem oddechu, z zaciśniętemi zębami, zawzięci i niestrudzeni, z fanatyzmem, bez zwracania uwagi na przeszkody i trudności nowego systemu.

To mój ideał pracy!

Nie wolno nam iść do szkoły ot, tak tylko, dla zwyczaju. Bo to jest wtedy marnotrawstwo, a nawet świętokradztwo. Wartość nauki znają najlepiej ci, którzy mieli możność zakosztowania jej tylko, a którym potem odjętą została. Oni zrozumieli jej urok, jej potęgę, dla nich ona staje się sama w sobie celem.

Tacy za możność uczenia się oddaliby nieraz lata całe życia. Młodość bez nauki—to wegetacja, nie życie. A iluż z po-

śród nas w tej uczelni zajmuje darmo i bezprawnie miejsca takich głodnych nauki! Nad tem mamy się zastanowić w tej chwili rozpoczęcia uroczystej roku szkolnego.

Mamy zdać sobie uczciwie sprawę z tego, czy jesteśmy istotnie zdrowemi gałązkami wielkiego drzewa naszego, czy tylko pasorzytniczą jemiołą

Wiem, „że słowa te nie zadrżą długo w sercu, gdzie nie trwa myśl nawet godziny," ale niech zadrżą choć przez moment, choć na tyle, aby każdy „zjadacz chleba" licealnego, chleba, który tylko należy się przyszłym budownikom, poczuł swoją marną rolę. I to już będzie dużo. A my, którzy wiedzy, jak głodny chleba, pragniemy, zacznijmy rok z otuchą i radością, że jeszcze możemy się uczyć.

Niech żyje nauka i szkoła!

Krzemieniec, wrzesień 1928 rok.

E. Cz.

ZNÓW w MURACH LICEALNYCH.

„Stój, czekaj!" — „Jak się masz Wacek?" -- „Serwus bracie!" — „Jadźka, moja kochana! — kiedy przyjechałaś?" — „A witam Cię, jakże spędziłeś wakacje?" — „Lolka! byłaś na obozie?" — „Mały nie rozbijaj się!" — „Ach, jak było morowo" — „Chodź ze mną do interku" — „Koleżankokopa lat!" — „Czemu nie pisałeś do mnie w czasie wakacyj?" — „O, panna Halina! jaka opalona, jaka śliczna" — wyrażają swój podziw i uwielbienie małe dziewczynki, jej wychowanki. Krzyki gwar i śmiechy rozlegały się na korytarzu gimnazjalnym. Bractwa było sporo. System daltoński połączył w jednym gmachu wyższe gimnazjum i seminarjum.

Po dzwonku rozeszliśmy się po klasach, ale i tam do wejścia profesora gwar nie ustał, Jakiś kolega bezkutecznie łapał „daltona," wyobrażając sobie, że to człowiek. Gromadka zapalczywych wyładowywała energję we wzajemnych szturchańcach. Koleżanki prowadziły dyskusję na temat nowego systemu, a bardziej umiarkowani koledzy przyłączali się do nich. „To dobry system, przynajmiej leniuchy będą musiały się uczyć" — powiada jedna z dziewczynek.

„Wcale nie—oponuje przedstawiciel czy przedstawicielka tej kasty, będzie okropnie trudno, zobaczycie, jeszcze się poskrobiecie w głowę“ „No, ja przynajmniej okropnie się boję“ „Czego się masz bać, jedna koleżanka z V kursu, wiecie, ta nowa, uczyła się tym systemem i powiada, że bardzo dobry“. Między nas wciska się kolega, wielki komik i próżniak i powiada: „Ja tam mam swój własny system uczenia się i nie myślę go zmieniać. „Nic mię nie obchodzi żaden dalton i nie dalton“. I śmiałyśmy się znając dobrze ten system, ale wyraziłyśmy powątpiewanie w skuteczność jego działania.

Nareszcie przyszedł wychowawca i po wpisach udaliśmy się na mszę do kościoła licealnego.

Tydzień trwały lekcje systemem klasowo-daltońskim, a w poniedziałek 10 września zebraliśmy się w sali Kolumnowej dla rozpoczęcia roku szkolnego nowym już systemem.

Po odśpiewniu hymnu narodowego nastąpiło nadzwyczaj sympatyczne, jak zwykle, przemówienie p. Wizytatora do młodzieży, w którem wskazywał nam nasz cel i obowiązki.

Poczem pan Wizytator zaznajomił nas z nowymi profesorami, odśpiewano wspólne: „Kiedy ranne“ i rozeszliśmy się po klasach. Zaczęła się „wolna nauka“,

Włodzimierz Danilczuk.

UROKI KRZEMIEŃCA w ŚWIETLE „GODZINY MYŚLI“ SŁOWACKIEGO.

Upadek powstania listopadowego, nieszczęśliwa miłość do Ludwiki Śniadeckiej, rozstanie się z nią a wreszcie cały szereg uczuć i wrażeń, zdobytych w samotnej podróży po Europie, decydująco wpływają na twórczość Słowackiego w pierwszych latach jego pobytu zagranicą.

Niesmak po wyjeździe z kraju w roku 1830, zmusza go do uporczywego i mozolnego badania swego stosunku do sprawy narodowej; a uświadomiwszy sobie, że nie postąpił w tym momencie tak, jak powinien postąpić, dobry syn ojczyzny, postanawia odtąd walczyć o sprawę narodu zapomocą swej poezji, która odtąd ma się stać poezją naprawdę narodową. Życie swe pełne cierpień i bólu oddaje wyłącznie tylko twórczości, w której zarazem i cała jego dusza się kryje. Jednakże

i to nie pomagało, bo poezja jego mimo wszystko nie znachodziła zrozumienia w społeczeństwie. Słowacki nadal musi trwać w samotności i melancholji i tylko jego ognista wyobraźnia zmusza go do tworzenia, w którem w pierwszych latach jego pobytu zagranicą prócz spraw narodowych znajdują wyraz przeżycia wewnętrzne—osobiste.

Jednym z takich utworów jest „Godzina myśli“. Myśl poety przenosi się w odległe strony, cofa się nieco wstecz, by w skupieniu w „godzinie myśli“ rozpamiętywać czasy dzieciństwa i przez pryzmat odległości skreślić pierwsze swe wrażenia i przeżycia, które jednakże głośnem echem odbiły się w jego życiu i twórczości.

Rozmarzony poeta, rozłamawszy życie „w dwie wielkie połowy, jedną godziną myśli“ cofa się wstecz i ogląda odwróconą ku słońcu przeszłość, jako „obraz ściemniały i płowy, pełny pobladłych twarzy“.

Wyrobionem poetyckiem okiem „ściga światła obrazu i cienie jak rozpryśnionych mozajek kamienie“ i na pierwszym planie widzi rodzinne miasto Krzemieniec które „tam pod okiem pamięci—pomiędzy gór szczytem—wieżami wytryska z doliny wąskim nieba nakrytej błękitem“.

„Piękne rodzinne miasto“ pierwsze leży pod okiem pamięci wdzięcznego poety-syna. O niem pierwszem wspomina w poemacie, który ma być „godziną myśli“ o szczęśliwej a jednocześnie i nieszczęśliwej młodości. Krótki a właściwie dorywczy pobyt poety w Krzemieńcu był dla niego chwilami tak szczęśliwemi jakich może już do końca życia nie miał. Przebywał tu w gronie najukochańszych ludzi: rodziców i krewnych Januszewskich, przecudowny krajobraz okolic Krzemieńca rozwijał i nasycał jego dziecinną ale już poetycką wyobraznię i kształtował w jego młodocianej duszy zamiłowanie do natury i ojczystego kraju. I chociaż tysiące mil oddzielają poetę od rodzinnego miasta, widzi je w swej wyobraźni i opisuje tak jak gdyby, orle skrzydła otrzymawszy, dopiero-co przelatywał nad Krzemieńcem. Widzi przed sobą długą dolinę otoczonc górami a z niej wieżami wytryskujące miasto, nakryte wąskim błękitem nieba. W rzeczywistości poeta wcale nie przecenia położenia Krzemieńca i podaję to, co naprawdę zobaczy ktoś po raz pierwszy będąc w Krzemieńcu.

Samo miasto leżące w długim erozyjnego pochodzenia jarze cudownie wygląda gdy się na nie patrzy z wierzchołka jakiejkolwiek z otaczających go gór. Widzi się wtedy u stóp otoczone zielenią szeregi białych domków, błyszczących w promieniach

słońca, co poecie daje podstawę do porównania ich do pereł. W nocy, kiedy mgła przesłania miasto, widzi się dookoła czarny wieniec gór, a obecność miasta zdradzają tylko palące się światełka lamp. Nie zapomniał o tem poeta i mówi, że „czarowne" jest miasto nietylko wtedy, „gdy w mgle nocnej wieńcem okien błyska", ale i wtedy, gdy słońcu rzędem białe ukazuje domy jak perły, szmaragdami ogrodów przesnute". Ponad tem czarownem miastem wznosi się „góra, Bony ochrzczona imieniem, większa nad inne,—miastu panująca cieniem", a na niej „stary —posępny zamek, który czołem trzyma, różne przybiera kształty, chmur łamany wirem. „...W dzień strzelnic błękitnych spogląda oczyma, a w nocy, jak korona, kryta żalu kirem, często szczerby wiekowe przesuwa powoli na srebrzystej księżyca wschodzącego twarzy". W tych kilku wierszach kreśli poeta obraz góry Królowej Bony i ruin zamku na niej leżącego. Gdy się wejdzie do miasta, to przedewszystkiem rzuca się w oczy olbrzymia półwyspowa góra, nosząca miano góry „Królowej Bony". Na szczycie jej znajdują się ruiny starego zamku, z którego dziś pozostało tylko kilka ścian i baszta z otworami strzelnic, przez które widać błękitne skrawki nieba. Góra dzięki swym olbrzymim rozmiarom rzeczywiście zda się panować nad miastem i przez kilka godzin zrana stale osłania miasto swym cieniem. Imponująco wygląda zamek w nocy przy oświetleniu księżycowem, gdy szczerby jego ruin zdają się sięgać chmur, lub też przesuwają się po płaszczyźnie wchodzącego księżyca, narzekając na swą niedolę i zapomnienie.

Prócz skreślenia powyżej interpretowanego obrazu, daje nam poeta w „godzinie myśli" jeszcze jeden bardzo ważny, szczegół do charakterystyki Krzemieńca. Z nadejściem wiosny gdy rozpoczną topnieć śniegi na górach, strumiennie wody z łoskotem spływają po znacznej pochyłości dróg, przepływają przez miasto i potokiem płyną do Ikwy. Jest to bardzo ważny szczegół, gdyż w okresie, wiosiennym nadaje specjalną fizjonomję miastu; napełniając go głuchym łoskotem i masami płynących wód. To też poeta spostrzegł to i mówi, że z gór otaczających miasto „lecą z lodów potoki rozkute i z szumem w kręte ulic wpadają załomy".

Reasumując to, co powiedziano, da się stwierdzić śmiało, że niema w tem konwencjonalnej przesady. Poeta daje nam tu rzeczywisty, realistyczny wygląd Krzemieńca, jednakże ujęty w

nadzwyczaj poetyczny i oryginalny kilkunastowierszowy obrazek. Słowacki swem poetyckiem okiem spostrzega to, czego my, oglądając codziennie Krzemieniec, spostrzec już nie możemy, a co widział on z odległości kilku tysięcy kilometrów, party niczem nieprzezwyciężoną tesknotą za ojczystą ziemią i biadający nad jej niedolą.

—◎◎◎◎—

Zenti.

WODNYM SZLAKIEM.

(Wycieczka łodziami z Łucka do Gdańska).

Wybrzeże polskie jest to małe okienko, przez które można spojrzeć z wnętrza Polski na świat. Po dziesięciu prawie latach istnienia Niepodległej Polski, Wołyń pierwszy raz popatrzył przez to okienko. Wycieczka nasza, odbyta w dziesiątą rocznicę niepodległości, falami naszych wód, jakby symbolicznie połączyła Wołyń z morzem.

Przygotowania do podróży.

Nim przejdę do opisu samej wycieczki, chciałbym dać krótki opis przygotowań do niej. Na odbycie takiej podróży potrzebne były mocne, porządne łodzie. Ale o kupnie mowy nawet być nie mogło, gdyż kosztowałoby to zbyt drogo, a przytem— czyż my, Wołyniacy, mamy jechać na łodziach, które Poznańczyk, czy Warszawiak robił? Nie, mamy przecież dość sił i energji, aby sporządzić łodzie własnym przemysłem. Liceum dało materjał, my pracę. Trzeba było tak kombinować, żeby robota przy łodziach nie przeszkadzała w nauce. Każdy z nas musiał poświęcić przynajmniej 2 wieczorne godziny na tę robotę. Musieliśmy też uważać, żeby się wszyscy w jednej porze nie zwalili do pracy, bo nie starczyłoby narzędzi. Ale jakoś się wszystko ułożyło i robota odrazu poszła w należytem tempie. Miały dla nas duży urok te wieczorne godziny, spędzone w wozowni, specjalnie dla nas silnie oświetlonej elektrycznością. W ostatnich dniach czerwca łodzie były gotowe. Oprócz dwóch wielkich łodzi,

koledzy Hubicki i Tonkiel zbudowali jeszcze dwa małe kajaki, któremi pojechali na kilka dni przed naszą wyprawą do Łucka, aby wszystko przygotować. Wielkie łodzie otrzymały imiona, „Liceum" i „Krzemieńczanka." Po uroczystem poświęceniu zauważyliśmy w czasie deszczu, że łodzie pozsychały się i przepuszczają wodę. Należało je zaraz na miejscu „oszpaklować". I znów zawrzała robota wieczorna, tym razem już na pięknym dziedzińcu wewnętrznym przy internacie męskim.

Stojący na schodkach wiodących z parku, widzowie zachwycali się ślicznym podobno widokiem, jaki tworzył silnie oswietlony dziedziniec z ogromnemi łodziami, około których uwijało się do późna mnóstwo robotników—harcerzy.

Nie mając doświadczenia i praktyki, popełniliśmy mnóstwo błędów, mimo wskazówek instruktora. Jak zwykle w takich razach, znalazło się wielu mędrców, którzy poniewczasie twierdzili, że tak właśnie, a nie inaczej należało zrobić. Ale co się stało,—nie odstanie. Koniec końcem, łodzie były wreszcie doprowadzone do porządku, odwiezione na stację (nie bez przygód) i załadowane do pociągu, który miał je powieść do Łucka na Styr.

W y j a z d.

29 czerwca, piątek. Od samego rana w Liceum ruch nadzwyczajny. Wszyscy wyjeżdżają: jedni na Heł do Obozu Morskiego my zaś—Obóz Wędrowny—do Łucka, skąd łodziami mamy ruszać „w świat". Od obiadu do godz. 4-ej auto Licealne odwoziło przyszłych uczestników Obozu Morskiego. Punkt o 9-ej poczęliśmy pakować na auto nasze wiosła, plecaki, prowjant, maszty, narzędzia stolarskie i ślusarskie i t. p. rzeczy, a o 5-tej wyjeżdżamy, żegnani przez naszych profesorów, rodziców, znajomych i ciekawych. Na pożegnanie pada wielkie pudło czekoladek od p. Poniatowskiej. Rozlega się wesoła piosenka: „Raduje się serce" i auto nasze mknię przez Szeroką. Mimowoli każdy z nas ogląda się i zasyła pożegnanie Liceum. Bonie, Czernczy, Skałom Dziewiczym. Wyjechaliśmy na rozległą równinę Wołyńską, zostawiając za sobą siny wieniec gór Krzemienieckich. Coraz większa wesołość ogarnia serca. Przejeżdżając koło koszar w Białokrynicy, postanawiamy coś zaśpiewać ułanom. „Jedzie ułan, koń mu zdycha"... ktoś radzi. Inni protestują i wreszcie wesoła melodja „Ułani, ułani, malowane dzieci"... odbija się o mury koszar. Za godzinę jesteśmy w Dubnie. Tu jeszcze raz spotykamy nasz

„Obóz Morski“ i żegnamy się z nim słowami: „Dowidzenia! Na Helu!“ Poczem jedziemy dalej, do Łucka.

c. d. n.

———◎◎◎◎———

Włodzimierz Danilczuk.

DOŻYNKI POLESKIE.

Jedną z może najważniejszych uroczystości letnich dla włościanina z Polesia są obżynki[1]).

Gdy nadejdzie pora dojrzewania zbóż, często słyszymy wieczorami nieustające wesołe śpiewy i okrzyki, płynące z chat rzęsiście oświetlonych, od ludzi cieszących się z tegorocznych zbiorów i składających sobie nawzajem życzenia, by i rok przyszły nie był gorszy od obecnego. Jest to chwila bardzo nastrojowa i wesoła, dla każdego rolnika to też nietylko wieczorem, ale i w dzień, jeszcze przy pracy, płyną pieśni w swej melodji rzewne cokolwiek, ale zarazem i wesołe, napędzające żeńców do pracy.

„Do kraju żeńczyky, do kraju
Stoit' horiłońka na kraju, na kraju
Chto wpered do kraju dożenet'sia, dożenet'sia
Toj horiłońky napjet'sia, napjet'sia.“

To też raźniej pracując, szybko dochodzą do końca grzędy i tam zostawiają kilkadziesiąt źdźbeł zboża nieżżętych na „borodu“. Wszyscy żeńcy wbijają swe sierpy dookoła nieżżętych źdźbeł, a jeden z nich ścina kłoski zboża i wyciera z nich ziarno, poczem wszyscy siadają dookoła „borody“ i sierpami kopią ziemię ze śpiewem:

„W dołynu żeńczyky, w dołynu
Po czerwonuju kałynu
Budem kałynu łamaty, łamaty
Budem borodu wbiraty, wbiraty.“

Po odśpiewaniu tej pieśni „brodę“ opasują słomą, ubierają kwiatami, a do, zruszonej ziemi zasiewają ziarna z kłosów sciętych ze źdźbeł przeznaczonych na „brodę“.

---

1) Na Polesiu lud nie mówi dożynki, ale obżynki. Wobec tego w artykule będę używał też tego terminu.

Przy tem śpiewają:

„A nasz hospodar rano wstaw, rano wstaw
Nahnaw żeńczykiw pownyj staw, pownyj staw
Wyżaw żyteczko troje staj, troje staj
Joho susidy łenywi, łenywi
Stoit' żyteczko na nywi, na nywi."

Zasiane ziarno bronują sierpami by te nie zardzewiały do przyszłych zbiorów i miały co żąć, poczem z kłosów plotą wianek i niosą go gospodarzowi.

Po drodze śpiewają:

„Nasza hosposia domuje, domuje
Nam weczerońku hotuje, hotuje.
Nam weczerońka nie myła, nie myła
Szeroka nywa nas wtomyła, wtomyła.
Nichto ne wynowat my sami, my sami
Szyroki zahony zajmały, zajmały
Taj my żyteczko dożały, dożały."

Na spotkanie żeńców wychodzi gospodarz z chlebem, solą i pieniądzmi na talerzu. Jeden z żeńców składa gospodarzowi życzenia pomyślniejszych zbiorów w roku przyszłym, kładzie na talerz wianek, a sobie zabiera pieniądze. Reszta żeńców tymczasem śpiewa pieśni, w których wychwala gospodarza lub też gospodynię:

„A nasz hospodar bohatyj, bohatyj
Na horyłońku bohatyj, bohatyj
Jak szudramy zatrase, zatrase
Nam horyłońky prynese, prynese.
Sydyt' hospodar na krisli, na krisli
A nam horyłońky chocz trisny, chocz trisny".

Po odśpiewaniu kilku pieśni, gospodarz zaprasza żeńców, a często i krewnych lub znajomych na kolację, która trwa nieraz do północy. Zebrani za pomocą pieśni domagają się od gospodarza coraz to nowych „porcyj horyłońky", co często odnosi skutek zwłaszcza gdy wszyscy już trochę podpiją. Potrawami używanemi na obżynkach są: barszcz, kasza, „warenyki z kaszą jaglaną i maczałom," u bogatszych jako zakąska: słonina, lub też mięso.

Jednakże kolacja nie przerywa pieśni, bo te wciąż dają się słyszeć, początkowo związane z obżynkami, potem coraz luźniejsze, a wreszcie niczem nie łączące się z obchodem.

Podczas kolacji najczęściej śpiewa się pieśni o gosposi:

„Nasza hosposia oj nasza,
Zhubyła kluczi od basa, od basa,
O dajto Boże, szczob znajszła, szczob znajszła
Nam horyłońky prynesła, prynesła.
Z strichy horichy, łetiły, łetiły
Serpy horiłky chotiły, chotiły,
Oj ne tak serpy, jak żeńci, jak żeńci
Pryjszły do pana u winci, u winci.“

M. T.

OBÓZ MORSKI NA HELU.

Wakacje są najpiękniejszem i najbardziej chyba upragnionem zjawiskiem w życiu każdego ucznia.

Z sercem pełnem wrażeń zasiada się w ławce na początku roku szkolnego, a pod jego koniec wakacje są najmilszem marzeniem. Każde wakacje są przyjemne, dają zdrowie i wypoczynek nerwom. Do najbardziej jednak miłych i pożytecznych należą wakacje tegoroczne w obozie morskim, licealnym na Helu.

Na kilka dni przed odjazdem w internatach panuje ożywiony ruch, gorączkowe przygotowania się do podróży. Nareszcie nadszedł dawno oczekiwany dzień 29 czerwca; auto licealne kursuje pomiędzy dworcem a Liceum, odwożąc ludzi i rzeczy do pociągu. Kwadrans na 4-tą pociąg cichutko rusza, z wagonu unoszą się dźwięki orkiestry licealnej, a na peronie moc chusteczek, poruszających się w pożegnalnym powiewie.

Żal za Krzemieńcem ściska nieco serce, ale radość, że się zobaczy polskie morze i sześć tygodni nad niem się spędzi, przeważa i wesołość opanowuje wszystkich, a ze stu piersi płyną ku równinom wołyńskim dźwięki polskiej pieśni: „Żal, żal za dziewczyną, za zieloną Ukrainą“, Podróż wagonem, naogół jest uciążliwa, ale podróż w tak licznej gromadzie sztubackiej, której jutro nie grozi notesem profesorskim, ma w sobie niewyczerpaną emocję. Mijamy Wołyń, Mazowsze o wyrazie podobnym, spokojnym i sielankowym, zwiedzamy piękną Warsza-

wę, przejeżdżany Pomorze, którego wygląd jest nieco odmienny: widać wyraźne wpływy kultury zachodniej niemieckiej. Przekraczamy granicę polsko-gdańską; na dworcach dźwięki mowy niemieckiej i niechętne twarze samych Niemców budzą w duszy uczucia, będące odruchem instynktownym wobec pruskiego „Drang nach Osten“. Wreszcie przejeżdżamy wąziutkim pasem ziemi, będacym jakby wysuniętym językiem terytorjalnego ciała Polski, którego szyję ściskają z dwuch stron żarłoczni na ziemie słowiańskie potomkowie Wikingów.

Na straży tego kurytarzyka wykańcza Polska port wojenny i handlowy, na którego widok niemieckie oblicze Gdańska wykrzywiało się w ironicznym uśmiechu, widząc jednak, że port ten nie jest żadną utopją, lecz w swej dogodności i znaczeniu może prześcignąć Gdańsk, gotowi są schylić swój chytry i przebiegły kark przed Polską.

Ale otóż jesteśmy u celu podróży. Rozlokowaliśmy się tymczasowo w niemieckim budynku, którego niewygody były raczej przedmiotem śmiechu i żartów z naszej strony, niż prawdziwego niezadowolenia. Wszelkie niewygody znosi się daleko łatwiej w tak licznej gromadzie młodzieży, tryskającej zdrowiem i niepohamowaną energją. Pan major Bobrowski, komendant obozu, artysta w swym rodzaju, potrafił tę energję skierować w odpowiednie łożysko. On mógł zaimponować tej swobodnie czującej się po wakacyjnemu gromadzie Wołyniaków. Może żadne przemawianie do zdrowego rozsądku nie zdziała tyle, ile zdziałał ten człowiek, będący uosobieniem karności i wytrwałości żołnierskiej a zarazem uczucia prawdziwie polskiego, jednem spojrzeniem, sprężyście wydanym rozkazem, trafnym dowcipem.

Z początku, co prawda bieda lokalowo-deszczowo-żołądkowa przyciskała nas bardzo; wtedy z niecierpliwością oczekiwaliśmy przybycia naszego kochanego „tatusia“. Gdy przyjechał, wszystkie troski i zmartwienia poszły w kąt. Ukazało się na niebie słońce, a w duszy miły i pogodny nastrój, bo wobec „tatusia“ niezadowolenie i smutek jest nie do pomyślenia. Wkrótce nadeszły namioty i nasunęły się trudności z ich ustawianiem, lecz u p. majora wszystkie trudności są niczem i w kilka dni już spaliśmy w ogromnych hangarach, których łopotanie tak przyjemnie usposabiało do snu. Dzień rozpoczynaliśmy ranną gimnastyką, której równej ze świecą trzeba szukać w Polsce. Te, nudne naogół, ćwiczenia były tak przyjemne, jak najwesel-

sza zabawa. Następowała później kąpiel w morzu, która wspólnie z gimnastyką budziła apetyt wilczy. Później plażowanie naprawdę odradzające, gdyż po paru nieprzespanych nocach skóra schodziła, jak u węży.

A jakże miłe były owe pogadanki wieczorne „pod parasolem" (sosna rozrośnięta nakształt parasola), kiedy major Bobrowski siadał pośród naszej gromady i opowiadał dzieje walk polskich o niepodległość w 1919—20 roku. Sam był w tych walkach i po mistrzowsku umiał je opowiadać. W sercach budził się zapał i chęć poświęcenia się w obronie ojczyzny przed odwiecznym wrogiem, Niemcami. Rota „Nie rzucim ziemi", śpiewana wieczorem była naprawdę przysięgą niezłomną. Niebezpieczeństwo, grożące ze strony Niemców, w całej pełni było zrozumiałe, gdy się stanęło na terenie nieludzkich zmagań Słowian z nawałą germańską. W marzeniach sennych widziało się krwawych Wikingów, wdzierających się na wzgórza koło Gdyni i Słowian, zastygłych w śmiertelnej rezygnacji, w walce na śmierć i życie. Tu się rozgrywała tragedja uwieczniona w „Wietrze od morza" St. Żeromskiego.

Czasem wieczorem, gdy po ćwiczeniach, pływaniu i wiosłowaniu, we wszystkich członkach czuło się przyjemne zmęczenie, zbieraliśmy się znów „pod parasolem" i w ciszy wieczornej płynęły ku morzu dźwięki pieśni: „Przy ognisku gwarzy drużyna wesoła". Czasem też wybrzeża słuchały zdziwione—może po raz pierwszy—pieśni ukraińskiej, rzewnej, szerokiej i powiewnej, jak stepy, które ją zrodziły. Pieśń ta, jak gdyby przypominała, że i lud ukraiński bierze udział w życiu państwowem Polski. A owe wycieczki statkiem i pieszo wzdłuż wybrzeża, ileż przyjemnych, a zarazem wartościowych pierwiastków mieściły w sobie; bo patrząc na pracę Polski nad wzmocnieniem się na morzu, czuło się potrzebę głębszego uświadomienia sobie ojczyzny, jej teraźniejszości i przyszłości, jej zadań i celów.

Najbardziej rajskie życie w obozie miała kolonja wypoczynkowa, bo „tatuś" czuł do niej szczególny sentyment; była to troska leżąca koło jego serca, dla niej miał zawsze specjalne względy i specjalne cukierki. I czy to na plaży nad wielkiem morzem, czy przy wiosłowaniu,— był zawsze wśród kolonji, czem dodawał jej otuchy wobec p. majora, bardzo sceptycznie zapatrującego się na wszelkie palpitacje serca i dolegliwości zdrowotne. Kolonja była to Achilesowa pięta p. majora i coś

co mu psuło humor.

Wszystko ma jednak swój koniec i w obozie zaczęto czynić przygotowania do powrotu, a i za Krzemieńcem budziła się znów tęsknota. Trzeba było wracać, aby zasiąść do żmudnej pracy w ciągu nowych dziesięciu miesięcy, pracy w nowych warunkach.

I ja kończę opowiadanie, ale czas spędzony w obozie pozostanie u każdego z nas w pamięci przez całe życie. Teraz trzeba porządnie wziąć się do roboty, aby pilnością i wynikiem wysłużyć u Liceum nowy obóz morski licealny na przyszłe wakacje.

J. D.

Z ZESZŁOROCZNYCH WSPOMNIEŃ „PRYWATKIEWICZA".

Przyjechałem do Krzemieńca na kilka dni przed rozpoczęciem roku szkolnego w celu znalezienia mieszkania.

Bez ceremonji zajechałem do znajomych, zostawiłem rzeczy i poszedłem na poszukiwanie.

Cały dzień przeszedł na czytaniu ogłoszeń, wywieszonych: bądź na słupach telegraficznych, bądź na szybach wystaw sklepowych, gdzie oprócz ogłoszeń nic ciekawego nie można było zauważyć.

Zapadł zmierzch, już nie rozróżniałem liter od białego papieru i białych ścian a zatem musiałem zaniechać mej ważnej czynności.

Wtedy dopiero uczułem, że poniżej klatki piersiowej coś mi mocno skwierczy i przypomniałem sobie, że nic tego dnia nie jadłem. Straszna tam zniżka (barometryczna) być musiała! Poszedłem więc do cukierni Sznajdera i kazałem sobie podać... rogala, wsunąłem go do rękawa i zwolna kroczyłem do domu. W miarę zbliżania do celu topniał biedaczek w rękawie.

Przyszedłszy, oświadczyłem, że wybieram się do hotelu; gościnna jednak rodzina nie puściła mnie a ja, ulegając ich namowom oraz argumentacji, zostałem. Przekonał mię argument, że w hotelu strasznie brudno i postanowiłem, mając kieszenie

czyste jak u prapradziadka Adasia (przypuśćmy, że je miał, Ewa mu z liści uszyła) nie iść do hotelu.

Nazajutrz o brzasku wyruszyłem znów na wędrówkę. A ślicznie było na świecie.

Na wschodzie, jakby z za rozsuwającej się kotary wyłaniały się góry, olbrzymiały, zbliżały się, aż stanęły za lekką osłoną mgieł. W pobliżu kur zapiał trzykrotnie, a za nim inne żyjątka zaczęły na swój sposób modły i hymn do życia.

Na to hasło, z za Czernczy grot wyleciał jasny... za nim drugi, trzeci... fjoletowy, pomarańczowy, barwą się tęczy mieniący i utkwiły w obłoczkach białych, które (jak skromna uczenica, gdy ją pochwała nauczycielska, jako grot, dosięgnie) zaróżowiły się i majestatycznie płynęły na szafirach.

Płynęły w stronę gór, by na wierzchołku Bony, Czernczy i Dziewiczej stanąwszy, powitać Władczynię Dnia—Słoneczko.

Jakoż wkrótce wypłynęło ponad brzózki na górach, zaróżowiło wieże Liceum i wysłało figlarne promyki, by poigrały na perełkach rosy w ogrodzie. Chciałem i ja za obłoczkami na Dziewicze góry skoczyć i tam ponad szaremi chatkami złożyć hołd Pięknu. Cóż kiedy musiałem bardziej prozaicznemi się zająć sprawami...

Skierowałem się w stronę słupa, na którym zauważyłem ogłoszenie i zasłoniwszy oczy, by mnie słońce nie raziło, krążyłem dokoła, chcąc przeczytać, co napisane, gdy nagle nastąpiłem nogą na coś miękkiego a nosem utkwiłem na jakimś nosie! Z zadziwienia wyprowadził mnie szturchaniec i kwaśna mina koleżki Cesia, który nie puszczał dużego palca nieszczęśliwej nogi. Przywitaliśmy się i po krótkiej apostrofie do czartów i kaduka, postanowiliśmy razem zamieszkać.

Był to pocieszny chłopak; na cienkich nogach, jak szczudłach, sam jak patyk z zapadniętą klatką piersiową, nieco większym brzuszkiem (choć rzadko obiady jadał); fizjonomję miał klowna, nosek zadarty, czuprynę bujną, a w kieszeniach pustki. Z tym to osobnikiem płci męskiej ruszyłem na poszukiwanie mieszkania. Sposób zaś mieliśmy prosty. Udaliśmy się do pierwszego z brzegu domu, a gdy napół jeszcze zaspana gospodyni wysunęła swą fizjonomję, koleżka zrobił 3 kroki wprzód i przemówił: „Powiedziano, iż u Pani jest do wynajęcia pokój, chcielibyśmy wynająć“ i t. d. Zdziwiona gospodyni, która nie myślała nawet o wynajmowaniu mieszkania, chcąc się nas

pozbyć, wskazała na sąsiadów, sąsiedzi odsyłali jeszcze dalej, w ten sposób wędrowaliśmy z domu do domu, aż natrafiliśmy istotnie na niezły pokoiczek. Gdy jednak gospodyni po dłuższym wstępie—zażądała—„Jako od uczniów“ 50 zł. za pokój—zawyrokowaliśmy, iż pokój jest dla nas za ciasny, niski, ciemny i t. p.; mieliśmy bowiem po 10 zł. na mieszkanie.

—Kiepska sprawa—zgodziliśmy się i pogwizdując shimmy ruszyliśmy dalej.

Naprzeciwko nas kroczył Edzio, elegant z laseczką nieodstępną w ręku, papierosikiem w rękawie.

—Gdzieżto Pierunki kropicie? Wyglądacie, jakby wam kto w buzię dał, lub jakbyście pół miljona zgubili.

Szkoda właśnie, żeśmy nie znaleźli—przydałby się. Słuchajno Cwoku! Może masz gdzie prywatkę?

—Chodźcie do mnie na Osowicę; morowe mieszkanie, świeży luft, wesołe sąsiedztwo (tuż obora z cielątkiem), a zresztą w górach,—letnisko, choć na zimę się zbiera, to jednak nie przestaje niem być. Hej zażyjemy Pierunki!

—Zgoda! Hajda na Osowicę, górę Miłości,—ryknęliśmy i we trzech „zatragaliśmy“ rzeczy na górę.

* *
*

Mieszkanie nasze dość widne, a nadewszystko poetyczne domek w ogródku, ogródek w lesie, las na Osowicy. Chatka niska, przy niej ul, pszczoły, pies kudłaty pilnuje gratów; pod tobą kobierzec szmaragdowy, przetykany cudownemi kwiatkami, nad tobą szafir przeczysty jesiennego nieba, na tle którego przesuwają się złote nici babiego lata, w powietrzu brzmi symfonja ptactwa leśnego i brzęk miły pszczół. Cudownie...

Wieczorem wracaliśmy do domu.

Las stał ciemny na tle szaro-sinego nieba, jakiś tajemniczy, straszny a jednak pełen uroku. Przypomniałem sobie bajki, słyszane od niani: o duchach, czarownicach, ognikach błędnych.

Właśnie mignęły między drzewami światełka jakieś, kołyszą się, drgają—to pewnie błędne...

Nad nami szumiały wierzchołki olbrzymów, gwarzyły widocznie. Może o dawnach czasach, o grodzie, rozścielającym się u stóp góry, a może o poecie, który w ich cieniu śpiewu słuchał przyrody. Kto wie...

Cisza panowała w lesie. Tylko od czasu do czasu wrony

zrywały się z drzew, załopotały skrzydłami i znów niczem niezmącona zapanowała cisza...

Nad ranem się zbudziłem. Przez otwarte okno wpadł do pokoju prąd czystego rannego powietrza, zapach lasu, drzew, ziół. Ptactwo śpiewało... Głos ich wkradł się do mej duszy i śpiewałem razem z nimi hymn radosny na cześć Piękna...

* *
*

— — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — —

Przebrzmiała pieśń wspaniałej jesieni polskiej. Nastąpił dysonans szarugi jesiennej a z nią zimno, deszcz, błoto.

Zjeżdżanie na płaszczu razem z oberwanym kawałem rozmokłej ziemi stawało się coraz częstsze, potem zaś następowało codzienne, mozolne drapanie się na czworakach na górę, wieczorem—wśród absolutnego mroku. Mieszkaliśmy jednak,—tanio kosztowało.

Ale to nic. Grunt się nie przejmować, jak twierdził mój przyjaciel.

Lazł cierpliwie na czworakach codziennie pod górę w jesieni i doczekał się przecie dnia wiosny, kiedy doszedłszy na wierzchołek, mógł z góry zaśpiewać pieśń potężną—wiosenną, która odbiła się o sąsiednie skały i poleciała, hen w dal...

M. T.

DAWNIEJ A DZIŚ.

(Z życia internatu).

Gdy cofnę się myślą jakieś pięć, sześć lat wstecz, staje mi przed oczyma obraz internatu i jego życie ówczesne. Widzę przed sobą podziurawione kulami i połyskujące plamami szaroczerwonej cegły nagie, zakurzone ściany sal. Gdzie niegdzie w kątach pod ścianami widnieją posłania, a raczej kupki słomy przykryte czemś, co ma podobieństwo koców. O łóżkach nie było wtedy mowy i jeżeli którykolwiek z wychowanków zdobył jakiś grat podobny do łóżka, to go strzegł, jak oka w głowie przed barbarzyńską wprost chęcią spania na łóżku, swych współkolegów. Z każdego kąta przedstawiał się widok zniszczenia i opuszczenia. Podwórze, zawalone gruzem, wyglądało jak

gdyby po trzęsieniu ziemi, które nawiedziło Krzemieniec.

A wychowankowie? Wyglądali również nie lepiej, ale zbytnio się nie przejmowali; wrzawa i wesołość była może nawet bujniejsza od dzisiejszej.

Znaczna część uczniów byli to przeważnie ochotnicy z armji Piłsudskiego, którzy niedawno walczyli za ojczyznę, a później, mając ją wolną i niepodległą, chociaż w gruzach, pragnęli nauki w ojczystym języku. A trzeba było się śpieszyć, bo opóźnienie było ogromne; taki drągal w mundurze wojskowym, u którego z pod wąsików przebijał się dwudziesty może rok, a który niejednego bolszewika miał na sumieniu, idzie zaledwie na... pierwszy kurs Seminarjum. Na wieść o odrodzonej ojczyźnie niejednemu tam za kordonem zapalały się serca płomienną żądzą nauki polskiej i niejeden porzucał rodziców i w noc ciemną, brnąc w śniegu z narażeniem życia przedzierał się przez kordon, aby w tem Liceum wstąpić do Seminarjum lub Gimnazjum.

Wszyscy znajdowali tu schronienie, a na niewygody nie zwracano uwagi, bo byli to wszyscy dzieci wojny, dzieci, którym śmierć w oczy zaglądała i którzy przeżywali rzeczy okropne. Jednak, jak powiedziałem, na humorze i wesołości nie zbywało, chociaż bardzo niepokaźny wikt nie zaspokajał apetytu. A pomyślcie sobie wy, nowi, którzy obecnie macie w internacie porcelanowe nakrycia, że nie tak łatwo bylo wówczas zdobyć naczynie do posiłku. Trzeba było znaleźć gdzieś puszkę od konserw, doprowadzić ją do stanu możliwie higjenicznego i do tego improwizowanego kubka dostać herbaty. Pan dr. Majewski, jeden z najpierwszych pionerów, pracujących nad odbudowaniem Liceum, zaledwie uporał się ze szpitalem rannych (w obecnej sali teatralnej), już wyszukuje sposobu podniesienia stanu higjenicznego w zakładzie. Uczelnie wołają o pomoce naukowe, budynki o remont, kuchnia—o artykuły spożywcze, a najgłośniej z natury zawsze głodni wychowankowie domagają się lepszych obiadów.

Czasem wieczorem, gdy głód dobrze dokuczył, w salce urządzano walną naradę nad wyprawą po kartofle do śpiżarni kuchennej internatu. Po zwalczeniu dość mocnemi argumentami obawy wobec tak niemoralnego przedsięwzięcia, wybór padał jednogłośnie na jakiegoś śmiałka, z pogodą zapatrującego się na „wylanie z interku". Ten właśnie miał użyć swego sprytu

„pro publico bono“.

Takich śmiałków, dla których wszystko było „wszystko mi jedno“, było kilku w internacie i cieszyli się ogólnem uznaniem i sympatją. Zwykle wyprawa udawała się znakomicie i po chwili w piecu, służącym do ogrzewania salki, piekły się kartofle, wydając ponętny zapach. O przyjemnościach takiej uczty nie potrzebuję mówić, należało tylko później zatrzeć wszelkie jej ślady przed ewentualną interwencją wychowawcy.

Ale powoli, stopniowo cała Polska strząsała z siebie przygniatające ją gruzy i Liceum zaczęło wchodzić w fazę dobrobytu. W ramach okiennych wstawiano szyby, na dziedzińcu chodniki, w internacie łóżka z siennikami, a co najważniejsza w jadalni pierwsze oznaki „repety“. Z wychowanków jedni kończyli Seminarjum i szli pomiędzy lud nieść oświatę, inni wybierali się na wyższe studja, stopniowo wytwarzał się obecny stan rzeczy.

Dawniej a dziś!... Zmieniły się warunki, zmieniła się młodzież. Zdaje się, że mamy wszystko do życia, naprawdę nawe wygodnego, a jednak czegoś brakuje, czegoś, co się nie da mierzyć miarą dotykalną.

Dziś kierownictwo Liceum nie troszczy się już o to, aby nas móc wyżywić jako tako,—dziś myśli się o jak największych wygodach, urządzeniu według ostatnich wymagań higjeny, o estetyce życia internatowego. Warunki zmieniły się o całe niebo na lepsze, a i my jesteśmy inni, niż dawni wychowankowie Liceum, tylko zmieniliśmy się nie na lepsze. Tamci nie byli ideałami, gdyż moralność wojenna wywarła na nich swój zgubny wpływ, ale cynizm ich miał granice. Była Polska, za którą wielu z nich walczyło, Polska, do której większość rwała się z za kordonu, jak do ziemi obiecanej. I to była ich świętość, ich ideał.

Liceum było dla nich niby symbol tej Polski, niby ona sama w minjaturze. A dla nas dziś i ta minjatura i ta wielka Polska są często frazesem, który już nie wywołuje czynnego oddźwięku w naszych duszach.

My dziś umiemy świetnie krytykować, ośmieszać w sposób dowcipny różne poczynania i zamierzenia naszych wychowawców, nie kiwnąwszy przytem palcem, aby przyczynić się do poprawienia stanu rzeczy. Jesteśmy bierni, gdy niema złej woli, ale gdy ona się zjawi w osobach nielicznych jednostek, sta-

jemy się źli i powierzchownie patrzący. Brak nam myśli głębszej, twórczej, brak życia, pojętego w znaczeniu spólnoty, brak zrozumienia współpracy społecznej, tak potrzebnej w życiu zbiorowem. Kiedyż wysiłki wychowawców i kierowników naszych przestaną się zużywać na bezskuteczną, niestety, walkę z bezmyślnem i okrutnem żakostwem naszem?. Kiedyż zrozumiemy, że dobre lub złe warunki życia internatowego zależą od nas, że mamy być współtwórcami tego życia? Kiedyż się wreszcie poczujemy pszczołami w wielkim licealnym ulu, przejętemi świętą troską i radością budowania życia, w warunkach zdrowych dla ciała i duszy, w atmosferze szczerości i dobrej woli?

Miłe i harmonijne współżycie w naszej wielkiej rodzinie musi być oparte na świadomem i dobrowolnem podporządkowaniu się normom, koniecznym w życiu zbiorowem. Posiadamy przytem prawa i przywileje współpracy z wychowawcami, więc głos nasz—byle mądry i poważny—zawsze jest słyszany i uwzględniany.

Czas jest wreszcie pomyśleć nad sobą, zwłaszcza, że żadna inna uczelnia nie idzie z tak wydatną pomocą wychowankom, jak nasza. Nie jeden z nas, nie mając żadnych środków materjalnych, może być spokojny co do ukończenia jednego z zakładów licealnych i pójścia na wyższe studja, gdzie również znajdzie pomoc materjalną i moralną Liceum.

DALTOŃSKI HUMOR.

Uśmiech przez łzy.

Ryp, Pyp—Maćkiewicz.

napisał najnowszy dramat szkolny

p. t. „DZIADY DALTOŃSKIE“[1])

Wielka tragedja, rozpaczliwy krzyk uciśnionej młodzieży.

1) Wzorowane na „Dziadach wileńskich“.

Schemat utworu:

Wstęp	Otrzymywanie tematów.
Rzecz właściwa .	Wkuwanie się. Zgłaszanie się. Zdawanie.
Zakończenie . .	Oblanie się.
Niespodzianka. .	Przekreślenie karty i plajta na drugi rok lub „fur“ za horyzont.

„F R A G M E N T Y“.

Widoki na przyszłość.

1) Objętość głowy daltonisty 5 m^3.
2) Objętość żołądka „ 2 cm^3
(u Zbysia 3 cm^3.)
3) Świeża trawka.
4) Śmierć poetycka (głodowa).
5) Zjedzenie przez Daltona.

Dla połączenia całości akcji „Dziadów daltońskich“ poeta pisze utwór p. t.:

„U P I Ó R“

Postać upiora straszna, jest to daltonista z raną w głowie od rozsadzenia przez nadmiar mądrości. Upiór przychodzi co roku w czasie zabawy w dzień święta Licealnego i pociąga do grobu liczne rzesze młodzieży licealnej.

Co skłoniło poetę do napisania powyższego utworu?

Rozpacz, gorycz i tęsknota za utraconą kochanką t. j. systemem lekcyjnym (światem ducha i rajską dziedziną ułudy).

Zasadnicza myśl to walka z Daltonem, a tem samem u-

wolnienie się od śmierci poetyckiej, idee wolnościowe. Hasła: „Precz z Daltonem!“, „Śmierć Daltonowi!“ „Wiwat branża!“

Antydaltoniści całego świata łączcie się!

„Jednością liczni rozumni szałem

Dalej antydaltoniści!“

Dalej „budo daltońska“ z posad, staremi pchniemy cię tory—na system klasowy.

Daltonie—a kysz, a kysz!

Ryp Pyp- Maćkiewicz
i ojciec misjonarz Fitil.

KOMUNIKATY KOŁA KRAJOZNAWCZEGO.

Wykorzystując cztery wolne dni, jakie nam przypadają od 1. XI. do 4. XI, Koło Krajoznawcze urządza dwudniową wycieczkę krajoznawczą do Poczajowa i okolic. Celem wycieczki jest: zgromadzenie materjałów etnograficznych, niezbędnych do wykonania zaprojektowanych eksponatów do naszych zbiorów regionalnych.

Ci wszyscy, którzy w wycieczce z jakichkolwiek bądź powodów udziału nie wezmą, muszą wykończyć i do dnia 5 listopada złożyć prace, pisane podczas wakacji.

Pozatem wszyscy członkowie i członkinie winni zająć się opracowywaniem kwestjonarjuszy drukowanych w „Naszym Widnokręgu“ Rok III, № 2—3, str. 32—38.

W tym wypadku, specjalnie należy zwrócić uwagę na kwestje dla nas w obecnej chwili najaktualniejsze a mianowicie:

1—o. Szczegółowy opis zwyczajów i obyczajów związanych z dniem Wszystkich Świętych i Dniem Zadusznym. 2 - o. Budownictwo ludowe (zagroda włościańska, krzyże, kapliczki, cerkiewki typowe); dokładne opisy z wymiarami, ilustrowane rysunkami i planami (możliwie w 3 płaszczyznach). 3—o. Stroje ludowe. Dokładny opis strojów z podaniem nazw ludowych. Opisy koniecznie winny być ilustrowane choćby najprymitywniejszemi rysunkami uwzględniającemi kolory naturalne, lub też oryginalnemi okazami. 4—o. Przemysł ludowy: (rękodzieła) zdobnictwo ludowe: wyszycia, hafty, kilimkarstwo; zdobnictwo wnętrz domowych, rzeźby, narzędzia rolnicze, wyroby zduńskie, zabawki i t. p. Uwaga jak pod 3.

Każda notatka będzie miała wartość wtedy, gdy będzie podawała:

1) miejsce, skąd dana rzecz pochodzi,

2) kto tę rzecz wykonał (adres)?

3) od kogo została wzięta?

4) kiedy (data)?

5) w jakich miejscowościach takie same okazy występują (najlepiej to zaznaczyć na schematycznie do tego celu narysowanej mapce).

Cena zeszytu pojedynczego (16—24 str.) 45 gr., zeszytu podwójnego (32—40 str.) 90 gr. Z przesyłką 55 gr., lub też 1 zł. Przedpłata roczna 4 zł. z odsyłaniem 5 zł.

Adres administracji: Koło Krajoznawcze im. D-ra Wilbalda Bessera Młodzieży Liceum Krzemienieckiego.

WYDAWCA: Koło Krajoznawcze im. D-ra Wilbalda Bessera Młodzieży Liceum Krzemienieckiego, pozostające pod opieką prof. Franciszka Mączaka.

Redaguje komitet w następującym składzie:
J. Dikszteјn, M. Tkaczuk, B. Gumuła, B. Poniatowska, M. Sołtykiewiczówna, W. Bliźniukiewicz, oraz p.p. prof. A. Ruskowa, Fr. Mączak, J. Trzcieniecki.

Redaktor naczelny: Włodzimierz Danilczuk.